

Warna — daleka i bliska



W arneński dworzec kolejowy wita przybysza licznymi atrybutami wielkiego centrum turystycznego. Międzynarodowe pociągi, różnorodny tłum podróżnych, wyjeżdżających z wagonów maszyn stojących w porcie statków, liczne autobusy „Balkanturistu” przed budynkiem stacji...

Warna, trzecie co do wielkości miasto Bułgarii (160 000) i największy port tego kraju, początkami sięga VI wieku przed naszą erą. Miasto założyli koloniści heleńscy, nadając mu nazwę Odesos. Z czasów rzymskich pozostały tu ciekawe fragmenty starożytnych wodociągów i łaźni. Współczesne swoje miano otrzymała bułgarska stolica nadmorska w siódmym wieku.

Bułgaria międzywojennego dwudziestolecia, rządzona przez cara, była nazbyt uboga, by możliwy stał się większy rozwój floty morskiej. Rozkwit Warny, co potwierdza w pełni dynamiczna statystyka przyrostu ludności tego miasta, nastąpił w okresie najnowszych. Warneńska stała się wielkim czarnomorskim portem, ważnym ośrodkiem przemysłowym oraz centrum turystycznym Bułgarii, goszczącym przybyszów ze Wschodu i Zachodu.

W mieście pracują zakłady chemiczne, tekstylne, mleczarskie i owocowo-warzywnicze, niedawno podjęła produkcję rafineria, w związku z eksploatacją źródeł ropy naftowej w nieodległej Kavarnie. Jednakże ostoja warneńskiego przemysłu są stocznie — morska i remontowa. Ich znaczenie wzrasta, jako iż w Sofii kładzie się nacisk na rozwój floty. Tonaż statków, pływających pod bułgarską banderą, przekroczył w tym roku milion DWT. Stocznie w Warnie pracują pełną parą (właśnie niedawno spuszczono tam na wodę statek... „Warna”, zbudowany dla Polski), lecz ich możliwości produkcyjne nie nadążają za potrzebami; nabywają przeto Bułgarzy liczne jednostki pływające w Japonii i Jugosławii.

W pełni sezonu, Warne zatłoczona jest samochodami przyjeżdżnymi, nadciągającymi tu z głębi kraju, a przede wszystkim z całej niemal Europy. Miasto, mimo swej długiej historii, nie sprawia wrażenia seledziwego; przeciwnie, poza nielicznymi fragmentami i grupą zabytków — oglądamy Warnę odmłodzoną nowoczesnym budownictwem. Tę latą właśnie w gorączkowym tempie wykańczano długi szereg okazałych bloków z lokalami handlowymi przy jednej z centralnych arterii miasta — ulicy Karola Marksa, trwały też intensywne roboty przy okazałej kopule sali imprezowo-sportowej.

Sredniej wielkości miasto, dzięki mnogości zieleni (wspaniały, wielokilometrowy nadmorski park) i położeniu pomiędzy zatoką a jeziorem (Warneńskim) — wywiera przyjemne wrażenie. Nigdzie nie jest nazbyt daleko od centralnego placu 9 Września (święto republiki), sprawnie działa rozbudowana sieć linii autobusowych, turystom nie brak tu atrakcji w postaci czy to muzeum marynarki wojennej, obszernego akwarium, teatru letniego czy nadmorskiego kasyna.

Z parku rozciągającego się wzdłuż brzegu morza, pięknie prezentują się warneńska zatoka i port. W od-

dali, na redzie, oczekują wejścia do basenów statki, często z białoczerwoną banderą. W ciągu pół godziny pospiesznym autobusem możemy przenieść się do renomowanych wczasowisk — Złotych Pisków, Czajki lub w ciągu kwadransa do bliżej położonej Drużby.

Ale tradycyjnym kierunkiem wybiegów polskich turystów, trafiających do Warny, jest przede wszystkim mauzoleum Króla Władysława III. Położone cztery kilometry od miasta, w centrum pola bitwy, jaka rozegrała się tu 524 lata temu, stanowi wraz z usytuowanym obok Muzeum Bractwa z Roku 1444, wieczysty symbol polsko-bułgarskiej przyjaźni.

W krypcie, u podnóża sporego kopca, do której wejście prowadzi przez kamienną bramę z napisem Vladislav Varnensi, spoczywa sarkofag Króla Władysława. Nigdy nie brak tu kwiatów, jak zabraknąć nie może u przybysza z Polski — refleksji związanych z bohaterką śmiercią młodego władcy spieszącego na czele koalicyjnych wojsk z odsieczą narodowi bałkańskim, podbijanym przez hordy osmańskie.

Ale śmierć Władysława Warnęńczyka i tragiczny przebieg bitwy odegrały jednak istotną rolę w historii narodu bułgarskiego. W dowód wdzięczności wzniesiono bohaterom mauzoleum i muzeum — pomnik jedności Bułgarów, Polaków, Węgrów, Rumunów, Czechów i narodów Jugosławii.

Nieco dalej od Warny, również przyszedł biegający w kierunku Sofii, znajduje się słynny, jedyny w Europie, kamienny las. Owym wybryk natury, ze wszech miar godzien obejrzenia, nasuwa skojarzenia z rozległymi ruinami gigantycznych pałaców. A przecież pochodzenie kamiennego lasu jest zgoła prozaiczne. Olbrzymie kolumny powstały z nacieków wapiennych — w piasku, oddzielającym dwie warstwy wapieni. Z czasem i erozja zniszczyła warstwę górną, wypuściła pokłady piasku — i oto stopniowo poczęły „wyrastać” las kamiennych maczug, filarów, fantastycznych brył.

Z Warny można ruszyć także na wycieczki nieco dalsze. Na południe — do Neseberu (70 km), miasteczka — muzeum, zbudowanego na maleńkiej wyspce, połączonej z lądem groblą o szerokości szosy. Rybacka ta osada, wypełniona kamiennodrewnianymi domkami i licznymi cerkiewkami, niezmiennie przyciąga turystów, błądzących ciasnymi uliczkami, kupujących muszle, kraby, maleńkie żółwie.

Nieco inne atrakcje oferuje Bałczik, położony na północ od Warny (30 km). Tu godzinie obejrzenia jest nie tyle bezstylowy, ekscentryczny pałacyk królowej rumuńskiej Marii (Bałczik do roku 1940 należał do Rumunii), ile okalający go park, pełen ciekawych drzew, krzewów, kaktusów i kwiatów.

Tysiąc sto kilometrów — w linii prostej — dzieli Warnę od Warszawy. Pospieszny pociąg potrzebuje dla pokonania tej przestrzeni półtora doby. Ale daleka Warne jest przecież pomimo tego bliska — złączona z nami wiekami historii oraz współczesnymi niciami sympatii tysięcy polskich turystów.

Kopalnia i kultura



Zakład pracy w toku produkcji spełnia poważną rolę w kształtowaniu społecznej postawy pracownika. Pracownik bowiem codziennie spędza tu większość swojego aktywnego czasu. Dział w zespole, do którego musi się dostosować, a więc wykazywać takie cechy koleżeńkości jak: współdziałanie, pomoc, rada, wyrozumienie. Obsługuje maszynę, którą winien znać i nad nią panować, a przy wytwarzaniu danego artykułu — pamiętać o jego społecznej funkcji. Przez swój produkt wiąże się z odbiorcą — społeczeństwem.

Tok produkcji narzuca także współzależność od innych grup produkcyjnych i od kierownictwa. Ta współzależność stawia wzajemne wymagania. I tu rządzi kontrola i opinia społeczna. Narazenie się jej spowodować może usunięcie niedostosowanego pracownika na margines grupy, a nawet z zakładu pracy. Im więcej w zakładzie pracowników zdających sobie sprawę ze swojej roli w pomnażaniu dóbr materialnych kraju i o wyższej kulturze osobistej, tym większa presja na współpracownika, któremu te sprawy są obojętne.

Tok produkcji wymaga coraz wyższych kwalifikacji. Pracownik więc bierze udział w kursach dokształcających. I tu powiększa swoją wiedzę ogólną i techniczną. Bierze też udział w różnego rodzaju naradach, spotkaniach i imprezach artystycznych, urządzanych przez radę zakładową. Bibliotekarka zakładowa służy mu książką. Może też kupić nową pozycję wydawniczą.

Pracownik w zakładzie pracy znajduje się pod naporem wielu czynników, kształtujących jego kulturę, uczy się ekonomiczno-polityczne myślenia. Kształtuje swoją społeczność na podstawie i odpowiadające potrzebom społecznym postępowanie. Przenosi to na członków swojej rodziny i na krąg towarzyski. Tak dzieje się w zakładzie pracy, położonym na terenie miasta i zatrudniającym jego mieszkańców. Podobny proces odbywa się w państwowych przedsiębiorstwach rolnych. Ale są też zakłady pracy, gdzie wpływ wymienionych czynników z powodu obiektywnych warunków jest bardzo słaby. I co wtemczas zrobić, aby pracownik podnosił swoją kulturę?

Typowym przykładem takiego zakładu jest kopalnia Węgla Brunatnego „Adamów” w powiecie tureckim. Do tej kopalni dojeżdżają wszyscy pracownicy, w tym 15 procent mieszkańców Turku (w większości to zespół pracowników dyrekcyj); reszta dojeżdża z różnych wiosek odległych do 50 kilometrów. Zatrudnieni w zasadniczej produkcji — w wydobywaniu węgla — nie tworzą tu zwartych brygad. Na przykład brygada obsługująca taśmociąg jest rozrzucona na przestrzeni kilku kilometrów. Obsługujący koparki i inne urządzenia działają także w oddaleniu, samotnie. Wszystkich tu łączy nie bezpośredni kontakt osobisty, ale tok pracy. Kierownik brygady czy oddziału z pracownikami styka się także rzadko. Od starego wytrawnego górnika do młodego odległość jest również duża. Wzajemne oddziaływanie społeczne jest więc słabe.

Pewne kontakty osobiste na terenie zakładu pracy zawierają między sobą nowo przyjęci pracownicy, a mianowicie na kursach, wprowadzających w arkana górnictwa węglowego. Ale później każdy z nich odchodzi na swoje stanowisko i więź się rozluźnia.

Po pracy każdy śpieszy do autobusu, aby jak najszybciej znaleźć się w rodzinnym domu. A tam czeka

robotą w zagrodzie gospodarskiej. Ci ludzie siłą rzeczy kulturowo należą do tradycji społecznej wiejskiej, charakteryzują się obowiązkową w niej postawą, postępowaniem nie odbiegającym od usankcjonowanego tradycją wiejską. Są to 8-godzinny górnik, 3-godzinny podroźnik i 3-godzinny (odliczamy tu 7 godzin snu i 1 godzinę na posiłki) rolnik — mieszkańcy wsi, która ich ukształtowała i kontroluje. A wolny czas zimą? Przeznaczają go na rozmowy towarzyskie i na karty, bo miejscowa placówka kulturalna albo nie istnieje, albo nie budzi zainteresowania.

Dyrekcja i rada zakładowa starają się podnieść kulturę tych ludzi. Powstał specjalny Klub dla Górników w Turku. Ponadto po niskich cenach (Rada Zakładowa dopłaca) rozprowadza się bilety do kina, na imprezy rozrywkowe, do teatru. Rzadko która z tych imprez „chwytą”. Na ten rok zaplanowano 18 wycieczek po kraju. Pierwsze miały powodzenie, ostatnią trzeba było odwołać z braku chętnych. Obiektywne specyficzne warunki stawiają zaporę trudną do pokonania.

Co w tej sytuacji robić? Wydaje mi się, że w działalności kulturalnej należy uwzględnić rok gospodarski, mający swoje nasilenie robót, w których po powrocie z kopalni bierze udział znakomita większość załogi. Do tej działalności najbardziej nadaje się zima. Zakład pracy, wraz z innymi zatrudniającymi pozamiejskowych — moim zdaniem — mógłby więcej zainteresować się działalnością w tym okresie wiejskich placówek kulturalnych, służyć pomocą finansową poprzez oddział WTK, dotować niektóre akcje kulturalne na wsi tureckiej, która dostarcza przecież pracowników. Chodzi tu o jeszcze jedno, o związanie pracownika i jego współmieszkańców z kopalnią, o przeniesienie części oddziaływań społecznych, którego nie może dać zakład pracy na swoim terenie, na teren wsi.

Osobny problem stanowią zatrudnieni w Kopalni mieszkańcy Turku. Klub nowy musi sobie wypracować trafne formy działalności. Ale to nie wszystko. Potrzebne byłoby zorganizowanie ogródków działkowych. Właśnie ogródki działkowe wiążą ze sobą użytkowników; tu bowiem powstaje więź sąsiedzka, wytwarza się bezpośrednie koleżeństwo. Powstałaby zwarta górnicza grupa działkowców, środowisko społeczne o wewnętrznym oddziaływaniu społecznym. Niestety — ogródków tych założyć nie można z braku ziemi dyspozycyjnej.

Uwagi powyższe dotyczą nie tylko kopalni „Adamów”, ale wszystkich zakładów pracy, których większość załóg stanowią dojeżdżający chłoporobotnicy. Niewątpliwie nieco większy wpływ na kształtowanie ich postaw mają te przedsiębiorstwa, w których praca odbywa się w skupionym zespole ludzkim. I tu potrzeba rażąca, jak silny jest ten wpływ i jaki stopień jest oddziaływanie środowiska wiejskiego. Błędem byłoby rugowanie zupełnie niektórych elementów wiejskich, które przedstawiają aktualną wartość społeczną. Sedno sprawy polega na wprowadzeniu w nawyk społecznego patrzenia na różnego rodzaju zjawiska i ocenianiu ich według społecznej przydatności, na świadomym udziale w pomnażaniu dóbr materialnych dla dobra kraju, na rozumieniu sytuacji społeczno-politycznej i własnego miejsca obywatelskiego. Ten postulat przebiega z tym, że V Zjazd partii w rozdziale dotyczącym zadań organizacji społecznych, do których oprócz związków zawodowych, ZMS i ZMW zostały także załączone samorządy robotnicze i dyrekcje. Jeśli więc tych zadań wymienione organizacje nie mogą w pełni realizować w toku pracy na terenie przedsiębiorstwa, to należy wyjść z nimi w środowiska mieszkalne, korzystając z ich ośrodków oddziaływania kulturalnego, a gdy ich nie ma, organizować je i wspomagając.

Leon Kukula

Urodzony w 1894 w Syra. Wieloletni prezes Związku Literatów Greckich, zmarł w więzieniu po przewrocie wojskowym w ubiegłym roku. Do najbardziej znanych zbiorów poetyckich Kukulasa należą: „Strofy życia i śmierci” oraz „Znajome drogi”.

Hellado

Nie zginieś, ani nie zginiesz
choćby znowu przyszli Persowie i Rzymianie
Hellado, nie jesteś fortecą do zdobycia
lecz światłem, co nie gaśnie.

Tłum.

Nikos Chadzinikolau

Rifa Boumi Papa

Urodzona w 1906r., w 1930 wydała pierwszy tomik „Pieśni miłości”, który przysporzył jej miano nowej Safo. Została niebawem laureatką Akademii Ateńskiej. Wydała m. in. „Ateny” (Nagroda Frontu Narodu — 1946), „Ritorno in ortigia” (Międzynarodowa Nagroda Syrakuz — 1950), „Płonąca jesień”, „Tysiąc zabitych dziewcząt” (z tego zbioru pochodzi wiersz Antygona), „Nieugięta Amazonka”, „Życiodajne światło”. Po przewrocie wojskowym w Grecji zaszuflała poetka znalazła się w więzieniu.

Antygona

Niedźwiedzie odziane w grube futra
nie marzną w lodach północy.
Drapieżników chronią w dżungli
ogromne pazury i kły
a ja pozostaję wśród ludzi naga
i bezbronna.

Pokochołam sen
słońce nie widziało piękniejszego
na ziemi
moja miłość
miała sens rzek i wiatrów

Przemocą zabrały mnie ohydne ręce
nie pozwoliłam ukrzyżować duszy
obroniłam rozpostarte skrzydła.

Jestem biała jak twoje kamienie
droga ojczyzny
taką białą ukryj mnie głęboko w ziemi
i nie żądaj wspomnień
to moja ostatnia noc
w zamkniętej kostnicy.
A piękne dni na Krecie?

Oprócz nielicznych spieszych gołębi
i łez
nie miałam innego skarbu
dlatego nikt z tych co mnie męczyli
nie widział jak płacę.

Tłum.

Nikos Chadzinikolau

Na barykadach — obrońcy Republiki Hiszpańskiej. W oblężonym Madrycie polscy ochotnicy, komuniści, żołnierze brygad międzynarodowych — bronią Polski w imię hasła „Za Waszą wolność i Naszą”. Oni są bohaterami tego opowiadania, którego pierwszą część zamieściliśmy przed tygodniem.

— Długo jeszcze będziesz czytał ten list? — zapytał.
— Ojciec tu pisze — odezwał się z szuflady. Wcale nie odpowiadając na moje pytanie — że...
— Ze co? — zapytał bez zainteresowania.
— Ze we wszystkich gazetach pisali... że wszystkich...
— Prześtań jąkać się — zawoła-

Bogdan Ruśka

CUDZOZIEMIEC⁽²⁾

łem. bo mnie to jego gadanie zdenerwowało — Mów, co piszą.

— Ze wszystkim ochotnikom, którzy wyjechali do Hiszpanii odebrało obywatelstwo. Takie rozporządzenie...

— Kiedy? — trochę zrobiło mi się głupio ale nie pokazałem tego po sobie.

— Trzynastego lutego. Ojciec pisze, że trzynastego było we wszystkich gazetach.

— No to co z tego? — zawołałem, trochę za głośno.

— Nic — wrzucił ramionami. — Ale odebrali...

— Na cholere ci obywatelstwo? Co będziesz z nim robił?

Schował się jeszcze bardziej w tę szufladę jakby zląkł się swojego krzyku.

— Ale zawsze... — upierał się. Za-

Dokończenie na str. 2

Leona Kruczkowskiego rozrachunek z przeszłością

Teatr gnieźnieński zainaugurował sezon od dawna nie grana na naszych scenach sztuka Leona Kruczkowskiego „Odwet”. Sztuka napisana została przed dwudziestu laty, w 1948 roku. Był to pierwszy większy utwór pisarza w Polsce Ludowej, jego „powrotny debiut” jak to określili sam autor powracając do pracy literackiej po przeszło ośmioletniej przerwie. Przed kilkunastu laty mówiło się o tej sztuce, że pozostała tylko dokumentem historycznym, świadectwem przebrzmiałych konfliktów społecznych leżących u podstaw tworzenia się powojennej Polski, że się zestarzała, straciła na aktualności. Jak odbieramy ją jednak dzisiaj wzbogaceni o nowe doświadczenia polityczne? Czy właśnie dzięki nim sztuka nie zyskuje na aktualności? Trzeba chyba dać odpowiedź twierdzącą.

„Odwet” w jakimś sensie rzeczywiście nabrał na nowo charakteru dramatu politycznego. W sztafażu realiów, faktów i podstaw z roku 1946 zdają się mówić również coś istotnego i na temat naszej współczesności. Ostry konflikt dwóch przeciwstawnych postaw przedwojennego komunisty powracającego po latach do kraju i przedstawiciela skrajnej burżuazyjnej reakcji uzyskuje dziś jak gdyby nowe społeczne i polityczne punkty odniesienia. Teatrównie gnieźnieńskiemu na pewno trzeba więc oddać to, że umie wykorzystywać publicznie potrzeby chwili i tak ustawiać swój repertuar aby móc wpływać nim na tok ogólnonarodowej dyskusji. Słowem, że potrafi pełnić określone funkcje polityczne. Jak jednak przedstawia się dziś artystyczne walory i możliwości sztuki Kruczkowskiego, czy jej nieco przestarzała dydaktyczno-moralizatorska stylizacja trafia również do przekonania widzów? Na pewno pod tym względem sprawa nie przedstawia się już tak prosto.

Sztuka Kruczkowskiego wyrasta z tradycji prozy i dramatu dwudziestolecia międzywojennego. Mieści się na pograniczach rodzajowo-traktowanego dramatu realistycznego i wielkiego dramatu symbolistyczno-allegorycznego. Wielki z rozmachem zarysowany dramat polityczny sasiaduje tu po prostu z dość banalną mieszczańską historią rodziną. Niebezpieczne to pogranicze zwłaszcza dla teatru nie zawsze dysponującego w pełni przydatnym dla tego typu sztuk aktorem. Przedstawienie gnieźnieńskie jest jednak spektaklem rzetelnie warsztatowo przygotowanym. Widac w nim ogrom pracy całego zespołu, troskę o czytelne, wierne literze tekstu odczytanie myśli przewodniej sztuki. Wszystkie kwestie publicystyczne są w nim starannie przez reżysera wypunktowane a zakończenie sztuki uwalnione od banału który tak ceniła sobie tamta epoka. Ale mimo wszystko po części rozminęło się to przedstawienie z surową, polityczną rozrachunkową wymową sztuki Le-

ona Kruczkowskiego. Zwiększono niebezpiecznie w stronę rodzajowego, naturalistycznego obrazka z przeszłości. Zbyt dosłownie realizystycznie - satyrycznie potraktowane zostało po prostu przez reżysera i aktorów. Główną najciekawszą w sztuce rolę profesora Jagmina gra w Gnieźnie rutynowany aktor Edmund Derengowski. W jego interpretacji tej postaci zabrakło może jednak odrobiny żaru, romantyzmu rozmachu. Podobać mógł się jego sceniczny partner: Julek — Stanisław Elsner. Młody aktor oparł się tu pokusie wzbogacenia psychologicznego nieco po macoszemu potraktowanej przez autora roli, wybrał prostotę, umiar surowości i stworzył w efekcie całkiem żywą postać młodego, zablakowanego bohatera. Na pozostałych rolach ujemnie zaciążyła natomiast troska o ożywienie postaci rodzajową quasi realistyczną interpretacją nieco z ducha starego mieszczańskiego teatru. Oczywiście z wyjątkiem roli i postaci Okulicza, która zarówno na scenie jak i w egzemplarzu autorskim pozostała niestety całkiem bezbarwna.

Cieszyć może natomiast stale rozwijający się talent scenografa teatru gnieźnieńskiego Ryszarda Grajewskiego. Chciałoby się już zobaczyć w jego realizacji plastycznej jakąś sztukę otwierającą rzeczywistość pole popisu dla scenografa.

Teatr im. Fredry w Gnieźnie „Odwet” sztuka Leona Kruczkowskiego w reżyserii Jana Perza i scenografii Ryszarda Grajewskiego. Premiera 7 września 1968.

„Odwet” Leona Kruczkowskiego w Teatrze im. Fredry w Gnieźnie. Na zdjęciu: Edmund Derengowski jako profesor Jagmin i Stanisław Elsner (Julek).
Fot. — G. Wyszomirski



Dokończenie ze str. 1

dudniło głucho jakby już w nią wlało.

— Wyglądasz jakby ci było głupio z tego powodu.

Powiedziałem to tak, jak gdyby to wcale nie dotyczyło mnie.

— A ty? — zapytał. Wyszedł z szuflady, wyprostował się, jakby chciał temu swojemu pytaniu nadać szczególną wagę i trochę jeszcze jak gdyby chciał mnie nim skarcić. — A tobie... wszystko jedno?

— Mnie to nie interesuje — skłamałem. Oczy nasze na chwilę odskończyły od siebie.

Skinął głową na znak, że przyjął to do wiadomości lecz nic więcej. Przyglądał mi się spode łba. Czern jego włosów połyskiwała w świetle z tej szybki. Wydało mi się, że obserwuję mnie z ponurym podziwem. Może tylko tak mi się wydawało.

— Ciebie nie interesuje... — odwrócił głowę, jakby szukał czegoś po ziemi. — Czy jesteś... Czy masz... — poprawił się.

— Zdecyduj się — zauważyłem.

— Na jedno musisz się zdecydować. — No, czy jesteś... — powiedział ale od razu wiedziałem, że nie to ma na myśli. — Czy jesteś obywatelem.

Poruszał się teraz z rozważnym umiarem, co mnie jeszcze bardziej zdenerwowało.

— Już cię raz prosiłem, żebyś się nie jakaś. Od czegoś takiego pies by się zerzygał. Mnie to nie interesuje — stwierdziłem chłodno — ponieważ jestem obywatelem świata.

Byłem zły na wszystko. Jeszcze bardziej z powodu tego idiotycznego obywatelstwa i z powodu tego, że nigdy bym nie podejrzewał, że taka wiadomość aż tak mnie wyprowadzi z równowagi. Ale Jasio o tym wszystkim nie wiedział. Spuścił głowę, patrzył w ziemię, tak jakby to on był winien, że ja mam w d... to jego obywatelstwo — a raczej swoje. Stał w tym samym miejscu co przedtem, pod szafą z zakrystii. Ja siedziałem w swoim kącie i przyglądałem mu się. Cholerne chciałem

go pocieszyć ale nie miałem pojęcia — jak. Wszystko co kolejno przychodziło mi do głowy nie miało sensu i tylko pogorszyłyby sprawę. Ze zdziwieniem odkryłem, że gdy komuś odbiora obywatelstwo, dosyć trudno pocieszyć go. Czy można powiedzieć mu bez narażenia się doświadczenia po mordzie, nie martw się, będziesz miał inne? Co można w takiej chwili powiedzieć? Nic. A ten ciągle patrzył w ziemię i miał minę, jakby co najmniej zgubił złoty zegarek. Teraz, cholera, ja poczułem się winny, że jemu odebrali to obywatelstwo. Obłąk. Choć nie taki to był znowu obłąk. Trochę mogłem czuć się winnym i on o tym wiedział ale mogłem też dać sobie uciąć głowę, że wcale nie dlatego tak na mnie patrzył. No trudno. Nie dostanę tu przecież z tego powodu fioła. Chwila nie jest odpowiednią. Żeby mi ją, psiarew, to dałbym mu swoje! Gdyby mi go też, dranie, nie odebrali. Niech ma to swoje obywatelstwo i niech przestanie wyprawiać tu te historie i patrzeć na mnie jak na zbója.

Przypominały mi się też różne takie dawniejsze zdarzenia, pewnie nieprzypadkowo. Człowiekowi przypominają się czasem najdziwniejsze rzeczy. Jestem przekonany, że zawsze coś w tym jest, że to właśnie te — nie inne. Człowiek pewnie — przynajmniej niektórzy — wcale nie jest taki głupi, jak na to wygląda. Przypomniał mi się więc jeden Włoch, który wpadł w ciemności na... no na tego, jak oni tam siebie nazywają, powstańca — a może są powstańcami, bo dlaczego niby nie? — wpadł więc na drugiego Włocha i zawołał do tego rewolucjonisty: rzuć to bracie! Tamten rzucił. Tyle że w niego. Bagnetem. Ten nasz Włoch, leżąc przygwożdżony, powiedział: źle zrobiłeś, bracie. Inny znowu — sam to widziałem i ten obraz jak żywy stanął mi przed oczami — z największym tylko trudem, było to w górach, ominął czołgiem klomb pełen bratków i o mało nie stoczył się w przepaść z powodu tych kwiatków. Jeden Polak zginął z pragnienia na kastyjskiej pustyni, bo ostatnie krople z manierki wlał do chłodnicy swojego maxima, inny znowu, fotograf, pochodził z Warszawy, wypuścił dywersanta, bo ten obiecał mu poprawę. Znałem pewnego chłopca spod Sochaczewa, który za żadną cenę nie chciał rozstrzelać szpiega wykrytego w jego własnym batalionie, ponieważ w ostatniej chwili rewidując go, znalazł przy nim fotografię matki, narzeczonej, czy kogoś tam, albo ta historia z tym szoferem poselstwa Rzeczypospolitej Polskiej w Madrycie. Toż to była heca! Przeszedł na drugą stronę barykady — bo wyszedł z hotelu Gran Via — trzymając w jednej ręce flagę czerwoną, w drugiej biało-czerwoną. Za nim szła pokojówka posła. Aniela — znałem tego posła, jeszcze sprzed wojny — z piękną czerwoną gwiazdą na berecie. Niosąc te chorągwie — tę narodową rąbał z poselstwa — oświadczył, że wyszedł niegdyś z ludu i że właśnie wraca do niego. Beznadziejnie spryciarze. Czy z takimi można wygrać wojnę? Bitwę może czasem trudno, ale wojnę — można! To prawda: nie wszyscy byli taey. Lecz fakt, że w ogóle byli, dość mi mówi. Co mi mówi? Ano nic. Ze wszystkim się zgadza. Muszę mu jakoś delikatnie, pomysłowo, powiedzieć, że cholerne obywatelstwo wyperswadować. Ciągłe jeszcze stał pod szafą i gapił się w ziemię.

— Miałeś obywatelstwo? — zapytałem. Spojrzył na mnie.

— Miałem — odparł cicho.

— To wiesz, co teraz będziesz miał?

Ale to wypadło zupełnie już idiotycznie i pewnie dobiło mnie ostatecznie w jego oczach. Nic mi też na to nie odpowiedział. Okropnie trudno powiedzieć coś sensownego w takiej chwili. Uznałem sprawę za beznadziejną i postanowiłem już więcej o tym nie mówić. Co bym powiedział, pogorszy sprawę. Przejdział, pogorszy sprawę. Przejdział mu. Jak zaczął porządnie strzelać. Stał ciągle z tym listem w łapie i coś kombinował. Nie mogłem już dłużej na to patrzeć. Odwróciłem się. Splunąłem na znaczną odległość. Dołeciało aż do końca naszego bunkra, do tych beczek z prochem, które stały tam na wypadek gdyby trzeba było ten cały interes wysadzić w powietrze. Zaczęłem liczyć beczki. Było ich tyle, że można by wysadzić nimi w powietrze Alcazar. Pewnie zostawili je tu przez niedopatrzność ale zaraz przypomniało mi się, że przecież ta nasza buda od początku przeznaczona była do wyśadenia w odpowiedniej chwili i że między innymi również po to tu siedzieliśmy. Przez ten list o wszystkim zapomniałem. Całe szczęście, że pada deszcz i nic się nie dzieje.

Nagle brzęknęło coś. Nie warto mi było odwracać głowy z powodu głupiego brzęknięcia. Nie miałem na razie ochoty oglądać Jasia jak stoi z tym listem. Zastanowiła mnie tylko cisza. Przed sekundą strzelali, teraz było cicho jak w grobie. Jakby wszystkich naraz zaraza wyduśla. I tego dzieciola też! Poczułem się jeszcze gorzej. Zabrakło mi tego całego rumoru, trwającego nieprzerwanie od tygodnia. Ale najbardziej brakło mi tego pukania za naszą budą. Dzieciola pewnie trafił, albo elektrownię, bo przestał hałasować. Drania pewnie szlag trafił albo puknęli go, różne możliwości przychodziły mi do głowy i poczułem się bardzo nieszcześliwy. Musiałem wiedzieć przywiązać do tego pukania. Dopiero gdy zabrakło go... Coś mnie naraz tknęło. Powoli odwróciłem głowę. Najpierw zobaczyłem tę szybę. Szybka jak szybka, nawet nie była mocno zapadana. Deszcz wyraźnie zmniejszył się albo w ogóle przestał padać. Szybka była prawie że czysta ale za to miała w środku dziurkę. Ładną, okrągłą dziurkę. Co jest, do cholery? Nigdy nie było tam żadnej dziurki! Jeszcze nie mi to nie powiedziało ale już poczułem zimno w krzyżu. Wychyliłem się z mojego kąta. Jasia nie było! Przez chwilę szukałem go wszędzie a on leżał prawie u moich stóp. Nawet nie słyszałem jak upadł. Dzieciol musiał jeszcze wtedy działać, kiedy Jasio upadł. Dlatego nic nie słyszałem. Leżał twarzą do ziemi pod tą swoją szybą i na plecach miał ciemną plamę. Po lewej stronie, dokładnie na wysokości serca. Patrzałem na tę plamę i widziałem jak szybko powiększała się. Miał duże serce. W duże łatwiej trafić.

Do bunkra wpadł Fernandez. W ręku trzymał pałacy się lont.

— Wychodźcie! — krzyknął — Atakuj!

— W porządku — powiedziałem i ruszyłem do wyjścia.

Poleciał z lontem do tych beczek. Po drodze potknął się o Jasia.

— Kto tu leży, do cholery? — zawołał.

Odwróciłem się.

— Obywatel polski — powiedziałem.

Przeglądamy Prasę

INTELIGENCJA CZYLI TEMAT DO DYSKUSJI

Mamy coraz więcej ludzi wykształconych czyli — jak to się potocznie mówi — inteligentów. Ale dzisiejsza inteligencja jest przecież tworem klasowo i zawodowo odmiennym niż inteligencja dawna. Nowa inteligencja, stojąca się warstwa coraz szersza, nawiązuje do dawnych tradycji. One zaś są różnorodne. Jak pisał Janusz Wilhelm na łamach „Kultury” w dziedzictwie inteligencji polskiej są rzeczy bezcenne: gdy by nie wnoszone przez nią do ruchów narodowych i do ruchów klasowych elementy świadomości — nie byłoby dziś zapewne u nas ani Polski, ani socjalizmu. Są jednakże w tym dziedzictwie także rzeczy obciążające: przez obecność tradycji złej i nieobecność tradycji dobrej.

Tradycja zła to — wskazywana wielokrotnie i w publicystyce i w literaturze — niechęć do samokontroli dyscypliny, do

myślenia kategoriami realnymi, do trzeźwej i dalekowzrocznej oceny zbiorowych szans i zbiorowych korzyści — stwierdza autor. To — również wskazywana wielokrotnie — skłonność do wielkościowych urojeń mających swe źródła w dobie mesjanicznej. To — na koniec — nieodporność psychologiczna, łatwość, z jaką się ulega stanom panicznym i frustracyjnym. Brak tradycji dobrych to przede wszystkim — zrozumiemy na tle naszej historii — brak nawykowego odruchu służenia państwu, odruchu, który w tylu krajach wszedł już od pokoleń w krew warstw wykształconych. Nie można było służyć państwu zaborczym — były to organizmy obce i wrogie. Nie dano się służyć Polsce międzywojennej — był to organizm przez swą słabość gospodarczą i administracyjną, przez swą nikłą dynamikę rozwojową zgłaszający minimalne zapotrzebowanie na inteligencję. Służyć można dopiero Polsce współczesnej i przyszłej. Ale tego trzeba się dopiero uczyć, do tego trzeba się dopiero przyzwyczajać. Ta służba nie ma tradycji.

Takie są — stwierdza autor — przyczyny tego, że niewiele jest problemów ważniejszych niż następujące: jak zdynamizować polską inteligencję, jak wyodrębnić z jej wyposażenia cechy najcenniejsze, jak je kultywować i rozwijać jak tego wszystkie dokonane w praktyce a nie przez bezsilne moralizatorstwo.

GAUDEAMUS Igitur NA I ROKU...

Rozpoczynający się w całym kraju rok akademicki jest sposobnością do

rozważań o studentach i pracy uczelni. W. M. w felietonie pod cytowanym tytułem zwraca się w „Życiu Literackim” do studentów I roku:

„Owszem — chłopce — jesteś młody, owszem — dziewio jesteś młoda i obiecująca, ale już tylko z wieku należy ci się nazwa (...) Jeśli nie napelnia cię dojrzałość, to jesteś za dziecinadą, a więc... Co zaś ze swobodą? Ależ tak! Za pełną swobodę jednak nie odpowiadają tylko dzieci. Używanie swobody przez ludzi dojrzałych wymaga wewnętrznej dyscypliny. Trzeba skierować młode umysły ku temu co je czeka (...)

Wypadki marcowe — czytamy — dowiodły, że nie zdążyliśmy na czas z pewnymi sprawami do umysłów młodzieży. Gdzie powstała luka. Wszak nie mogliśmy zaprzeczyć takim postulatami, które wynikały nie z niewiary ale z niewiedzy. Niez wyznaczaliśmy z tego powodu wściekłości; i ja nie wiedziałem kto kogo ma za brutalność przepraszać. Takich grzechów należy unikać; to co robimy, ma zapobiegać konfliktom albo je redukować, jako że życie nie jest bezkonfliktowe. Pytania i wątpliwości mają wyjść na powierzchnię. To dobrze niech wychodzą. Co mądrzejsi, odważniejsi sami powinni niepokoić młode umysły. No i...? I kierować je ku zadaniom konstruktywnym. Żeby jasne było, gdzie np. poboczni naganiacze namawiają do awantury, gdzie się zadziera z Polską socjalistyczną a gdzie idzie się z narodem. Nie można też ulegać „filozofii” cięticia, co dwie marki ście.”

Problemy uczelni podejmuje Janina Jamrógiewicz w „Tygodniku Demokra-

tycznym”, gdzie omawia zwłaszcza wyniki dotychczasowych dokonań dla odmłodzenia i przyspieszenia procesu kształcenia kadr uczelniowych. Natomiast w „Walcie Młodych” o sprawach studenckich wypowiada się Jerzy Piatkowski — przewodniczący Rady Naczelnej Zrzeszenia Studentów Polskich. Jedną z głównych tez tej wypowiedzi jest stwierdzenie: „Uważamy wychowanie przez pracę za podstawę socjalistycznej pedagogiki (...) Wydaje się, że praca powinna być podstawowym czynnikiem umocnienia więzi studentów ze środowiskiem społecznym, z którego pochodzą. I dlatego zabezpieczenie przez powiatowe rady narodowe frontu pracy dla studentów ze swego terenu byłoby najbardziej naturalnym czynnikiem wychowawczego oddziaływania środowiska.”

Wreszcie w „Życiu Gospodarczym” Marian Sikora w artykule „A jeśli trzeba...” — W studenckich stołówkach” przedstawił szereg postulatów, których wykonanie usunęłoby przyczyny nienormalnego na ogół stanu żywienia w stołówkach studenckich.

KU SKRÓCENIU CZASU PRACY

„Życie Gospodarcze” jak informowaliśmy na tym miejscu w zeszłym tygodniu — rozpoczęło druk wypowiedzi na temat kwestii związanych z zapowiedzianym w Tezach zjazdowych skróceniem czasu pracy. Tym razem tygodnik publikuje obszernie fragmenty dyskusji, których uczestnikami byli robotnicy

Poznańskich Zakładów Przemysłu Odzieżowego im. Komuny Paryskiej. Szczególnie istotne wydają się dwie z tych wypowiedzi. Oto one:

„W zakładach „kobięcych” raczej wolna sobota niż krótszy dzień pracy. Być może w zakładach zatrudniających duży odsetek dojeżdżających, a więc najczęściej zakładach „męskich” — i to nie wszystkich — lepsze jest inne rozwiązanie (...). Nie można sprawy tej zatapiać „pod sznurek” według jednej sztancy. Trzeba uwzględnić konkretne warunki. A sądząc, że najlepiej zapytać o opinię samej załogi”.

„Wyobrażam sobie, że taki plebiscyt poprzedzony powinien być dokładnym wyjaśnieniem, o co chodzi i powinno się załogom otwarcie powiedzieć, co należy zrobić, aby skrócenie czasu pracy nie odbiło się na zarobkach. Można, tak że wcześniej zebrać wnioski, zmierzające do usprawnienia organizacji pracy — żeby te same produkcje można było wykonać w skróconym czasie — i uczynić samorządy odpowiedzialnymi przed załogą za wyegzekwowanie ich realizacji. A załoga przy wypłacie zorientuje się, czy samorząd dobrze pilnuje ich — a chyba także ogólnospołecznych — interesów, czy wnioski usprawniające naprawdę wprowadzane są w życie. Niech więc samorządy rozliczają się przed załogą”.

LEKTOR